



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ,

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

### CO JA KOCHAM?

Co ja kocham w tym sinym przestworze,  
Który kołem swoim mnie otacza?  
Pola... lasy... zielonych niw morze,  
Które wiosną zrosił znój oracza....  
Ja to wszystko—wszystko kocham, Boże!  
Cienie nocy i poranków zorze,  
Białe kwiatki na szarym ugorze,  
Co się wdzięczą jak dziatwa wieśniacza....  
Tak to kocham, że wzięwszy w ramiona,  
Wszystko garnąć-bym chciała do łona.—

Tak to kocham, jak matki oblicze,  
Co do dziecka swojego się śmieje.  
I jak własne me sny tajemnicze,  
Jak tęsknoty moje i nadzieje,  
Rozrzucone czuję w koło siebie:  
Gdzieś w powietrzu, na ziemi i niebie....

O! ojczysta ty moja przyrdo,  
Jakaż wiąże mnie z tobą moc czaru?  
Czym z twych zdroj wypłała go wodą,  
Czym w krew wzięła z słońca twego żaru?  
Lecz jest jakaś przemożna potęga,  
Co mi serce biorąc, z tobą sprzęga.

Może kocha bezwiedne uczucie  
Proch ojcowski, co w ziemi tej leży?  
W szumie lasów, w wiatrów tęsknej nucie,  
W szmerze wody, co wskrós ługów bieży,

Czy nie mówią do mnie owe głosy,  
Co tu niegdyś były pod niebiosy?

Co tu były uroczystym hymnem,  
Co tu były dumnych tłumów gwarem:  
Ponad polem od krwi ciepłej dymnem,  
Pod kościelnych naw sklepieniem starem,  
I zakłętę w echa przedwiekowe,  
Mają teraz swój głos i wymowę.

Nie wiem.... przecież coś drogie, coś moje—  
Tak tu czuję, jak Boga w kościele.  
Na relikwie nadeptać się boje,  
Na kość w prochów ofiarnych popiele....  
Klękam tylko, i usta drżącemi  
Pocałunek daję czarnej ziemi.

*M. Ilnicka.*

### NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Dwór rudawicki, stary bardzo i już zaczyna-  
jący się zakłęsać w ziemię, przedstawiał prze-  
cież w lecie jakby jakieś gniazdo swobodnej we-  
szości i rozkoszy spokojnej. Ogród wokoło był  
starym również, a że ogrodnika nie miewał, że

pozwolono tu rość, buić, zakwitać wszystkiemu,  
co natura zasiała i wyprowadziła z łona ziemi,  
stał się z niego gaj niby, który w czerwcowej  
pełnej zieloności nęcił do siebie, jak zaczarowa-  
ny sad w bajce. Ptactwa było tu mnóstwo i ta-  
kiego już, które się leśnem i dzikiem nazywa.  
Las był niedaleko, niedaleko łąki rozległe.  
Wijąca się wśród nich nie bieżącej wody, rzeczka  
Dysia, śpiesząca, zdaje się, że do Swisłoczy,  
w niektórych miejscach, gdzie zakręt czyniła,  
rozlewała się wiosną szerzej i tworzyła mokra-  
dła, które stawały się za przyjściem dni ciep-  
szych jakby rajskimi jakimiś ługami, do których  
człowiek przystępu nie miał, a które zamieszki-  
wał naród ptasi: śpiewający, gwizdzący, wycią-  
gający trele przeróżne a który w ogrody ruda-  
wickie zalatywał i w nich kolonie swoje tworzył.  
W tej porze już to wszystko było na gniazdach  
i nie głużył już tak ich śpiew, nie rozbrzmie-  
wały nim tak, jak w Maju, noce czerwcowe; ale  
zwłaszcza rankami i wieczorami, były odzywania  
się, nawoływania — różne głosy tajemnicze,  
które zdradzały życie, kryjące się w zacięniach  
tej zieleni. Żaden angielski ogród, żaden park,  
w którym by gracowano drogi, przycinano pędy  
młode, czyniono w państwie natury porządek  
ludzki, nie mógł iść w porównanie z tym starym  
zapuszczonym ogrodem. Że Wanda była duszą  
bezwiednie poetyczną, że kochała, i nieszczęśli-  
wie—co w piersi ludzkiej zawsze poezyą się  
staje—że miała tę pierś pełną tęsknoty i oczekiwa-  
nia, więc ogród rudawicki pociągał ją do siebie  
urokiem niewymownym. Mogła tu raniem sa-  
motna wybiedz i za lecącym wiatrem ręce w dal  
wyciągać, myśląc o skrzydłach dzikiego gołębia,  
który gdzieś w pobliżu gruchał, skrzydeł mu  
tych zazdrościć — Mogła tu o zachodzie słońca  
w pół zarosłą dróżką jaką zwolna iść i nie pod-  
słuchiwana przez nikogo śpiewać: — „Nie będą  
ja twoją, nie będą ja twoją, ani niczyją!... Mo-  
gła to wszystko—i było jej tu tak dobrze,



pośpieszniej na jego przyjęcie nie dąży. P. Michał miał na sobie nie nowy, luźno na nim wiszący ubiór letni z dymy popielatej, który go bynajmniej elegancko nie stroił, pies szedł też za nim równie powoli, i p. Roman z góry wzrokiem ich objął. Miał on w sobie wrodzoną, czy wyrobioną przez życie pogardę ubóstwa, starości, niemocy wszelkiej i patrzył też na zbliżającego się jak na jakiś już szczyłek marny, na jakąś ruinę nędzną.

— Kogóż mam szczęście witać? — zapytał p. Michał łagodnie, stając przed gankiem, a gość musiał już kapelusz z hardej swej głowy zdjąć i nazwisko wymienić. — A... sąsiad nowy, ale nie miałem jeszcze sposobności Acana Dobrodzieja widzieć — rzekł wtedy p. Michał i do drzwi postąpił, aby je przed nim otworzyć. — Proszę w moje progi... — dodał.

P. Roman zrobił mimowoli jakąś ceremonią, aby sędziwego gospodarza przodem puścić, ale p. Michał gościnnie powtórzył: — Proszę, proszę Acana Dobrodzieja... i powiódł go, zawsze mu, jako gościowi krok pierwszy dając, do bawialnego pokoju, gdzie przez drzwi szklane, na ogród otwarte, wpływało powietrze pełne świeżości i woni. Wróble, korzystając z samotności i ciszy, jaka panowała w całym domu, ośmieliły się aż poza próg zaawanturować. Świergotły i przekrzywiając główki przyglądały się ciekawie, jakgdyby zaczarowanemu pałacowi olbrzyma, gdy otworzenie drzwi spłoszyło je nagle. Frunęły, a p. Michał uśmiechnął się do brotliwie. — Łaskawe, łaskawe są, bo niema ich komu tu straszyć — rzekł. — Jak Filomen i Baucis, z sędziwą już też małżonką moją mieszkamy tu w cichości i brata się też z nami ten świątek boży. Ptaki gniazda wkoło ścielą, a zieleność rozpościera się, jak w pustyni.

Przy tych słowach, krzesło gościowi wysunął. — Czem Acanu Dobrodziejowi służyć mogę? — zapytał.

Choć jak Filemon z Baucydą żył w domu, wśród którego gospodarowały wróble, a do którego drogizarastały trawą, jednak nie zapomniał o tyle obyczajów światowych, aby nie miał wiedzieć, że o tej porze nie przybywa w odwiedziny gość, zwłaszcza nieznan. Nie wziął też tej bytności tu p. Romana za wizytę, przez którąby młody sąsiad uszanowanie mu składał i znajomość zawrzeć chciał. Domyślał się interessu i zapytał p. Romana tak, jak kogoś, co dla załatwienia sprawy swojej przybywa: czego by tu chciał?

On się zmieszał mimowoli. Dobrotliwa powaga starego oddziaływała nań, była przytem w obojętności jego spokojnem i łagodnem pewna układność staroświecka, ale niemniej pokazująca, że to człowiek, który się kiedyś między ludźmi obracał i stosunków, form światowych znajomość posiadał. — Czem mogę służyć? — powtórzył i przy stoliku naprzeciwno siadającego stojąc, patrzył na niego obecnie zblakłym już, niegdys przecież pięknymi, błękitnymi oczyma.

P. Roman uczył się na sobie gniewnym, że uległ wrażeniu, którego się nie spodziewał. Za to wziął teraz na wyniosłość imponującą. Głowę do góry podniósł, zadarł ją prawie, aby z wysokości osoby swojej na małego, szczupłego starca spojrzeć. — W domu pańskim bawi nieprawnie osoba, która sobą rozrządzać nie może, ponieważ zostaje pod naturalną władzą dobroczynnej opiekunki, która się jej losem zajmowała od dziecka... — rzekł sucho głosem surowym.

— O kim acan dobrodziej mówisz? — zapytał p. Michał bardzo spokojnie, jakkolwiek przeszedł najpierw po jego zmarszczonej twarzy rumieniec, a potem wystąpiła na niej błądź. P. Roman wziął to za trwogę, choć uczucie to było całkiem inne, które się w sercu starca poruszyło. — O kim acan dobrodziej mówisz? — powtórzył.

— O zbiegłej z domu p. prezesowej Porzeczkiej, wychowawcy jej, która się tu schroniła. Bezprawnie to się stało, że schronienia tego tu szukała i że je tu znalazła...

Teraz p. Roman wstał z krzesła. Wyprostował się i wobec tego rosłego, imponującego gościa swego, gospodarz jeszcze się mniejszym i szczuplejszym wydawał. P. Roman rękę na

stole położył. Patrzył, wyniośle i odpowiedzi czekał.

Pan Michał zaraz mu dał odpowiedź.

— Panna Wanda Porzeczka — rzekł — synowica mego niegdyś przyjaciela, z którym przez wiele lat, bo od ławy szkolnej, w sąsiedzkiej zażyłości i braterskiej niemal miłości zostawałem, jest osobą stanu wolnego. A że pełnoletności doszła, zatem władną już jest do rozrządzania sobą legalnego. Jeżeli acan dobrodziej wątpisz o tem, to mu zbiór praw, jakimi się rządząmy obecnie, przyniosę.

— Mój panie — zawołał p. Roman hardo.

Że przytem głos wyżej podniósł, więc gospodarz lekko się uśmiechnął. — Stary jestem i acan dobrodziej zapewne przypuszczasz, że nie dosłyszę, rzekł z tym uśmiechem, niegniewnym bynajmniej, który mu tylko twarz trochę ożywił. — Ale nie... Bogu dzięki słyszę dobrze i niech się acan dobrodziej nie sili na podnoszenie głosu.

— Mój panie — powtórzył p. Roman, a w oczach mu migotało. Głosu nie zniżył, lecz przeciwnie jeszcze go podniósł, i p. Michał już teraz poważnie rzekł: — Powtarzam acanu dobrodziejowi, że słuch mam dobry, sądzą nawet, że się lepiej rozmówimy, gdy ciszej iść to będzie.

Teraz on przy stole siadł i dodał: — Słucham zatem acana dobrodziej, co mi powiedzieć chciał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

LX.

**Galeotto**, dramat w 3 aktach; napisał José Echegaray, przełożył Jan Kleczyński; pierwsze przedstawienie dnia 22 Kwietnia r. b. **Ernest**, komedia w 1 akcie, Clairville'a i Gastincau, tłumaczona z francuskiego.

Mamy zatem na scenie swojej i współczesny dramat hiszpański, doznający podobno wielkiej wziętości w Madrycie, a grany w Burgu. Szczere się przyznają, żem nie ani o nim, ani o jego autorze nie słyszałem. Moznaby mi to poczytać za rzetelne przestępstwo, gdyby nie to, że p. Echegaray, ukrywał się dotychczas stale pod anonimami i pseudonimami — czy z wielkiej cnoty, czyż z mądrej polityki? — powiedzieć nie umiem, dość, że chodził w masce. P. Święcickiemu, znawcy literatury hiszpańskiej, zostającym w korespondencji z tamtejszą inteligencją, jak np. z Castelarem, zawdzięczam wiadomość, że *Galeotto* jest jedną z czterdziestu sztuk teatralnych Echegaraya, sztuką najlepszą ze wszystkich, ale te wszystkie są złe. Nie przeszkodziło im to przecież cieszyć się powodzeniem, a autorowi zażywać popularności w narodzie, przynajmniej w stołeczny. Popularność ta raz nawet wystąpiła w formie dziwnie jaskrawej, na jaką tylko wrażliwość południowa zdobyć się mogła. Echegaray nie tylko w dramaturgii, ale w skarbowości i polityce na wybitne wśród swoich wznosił się stanowisko. Był właśnie wtedy aż ministrem skarbu, kiedy w teatrze przedstawiano beziemiennie jakąś jego nową sztukę. Na ministra lud madrycki był srodze o coś zagniewany, ale nieznanego autora sztuki oklaskiwał. Przyszło do kociej muzyki pod oknami ministryalnemi; lud wył i wybijał szyby. Dopiero jeden z przyjaciół ministra uciszył burzę wyznaniem, że ulubiony autor i nienawidzony minister są jedną i tą samą osobą. W jednej chwili wycie zamieniło się w okrzyki radości; zaczęto wołać: „Niech żyje — niech się ukaze.“ Wyszedł tedy i ukazał się — i od tego czasu ukrywać się już przestał ze swem autorstwem. Literatura powszechna zyskała co najmniej jedno nazwisko.

Autor minister ma już wiek dojrzały; ale najlepszą jego sztukę po 39 gorszych czuć jeszcze taką surowizną, jakgdyby dopiero teraz brał pióro do ręki. Nie muszą jej czuć Hiszpanie, bo inaczej nie wyprawialiby takich, prawdziwie,

jak w malignie, demonstracji. Widać, że dotychczas południowych głów Calderon jeszcze dziś przystaje z łatwością; że nawet w braku właściwej mu głębokości psychicznej same tylko nadzwyczajne naprężenia, węzły i starcia zewnętrzne wystarczają do rozpalenia dzisiejszych widzów. Zawsze to lepsze od entuzjazyzmów operetkowych. *Galeotto* da się wysłuchać, ale nie ma wyższej, utrwalającej już dzieła ludzkie wartości; nie zaszkodzi scenie, ale i nie pomoże.

Kto jest ten *Galeotto*? Niema go wcale w sztuce Echegaraya; trzeba go szukać aż w głośnym romansie średniowiecznym o przygodach Lancelota. W powieści tej rycerz króla Artura a współbiesiadnik Okrągłego Stołu, kocha się w małżonce królewskiej, Ginewrze; królowa odpłaca mu wzajemnością, a powiernik czy zausznik *Galeotto* ułatwia schadzki miłosne i nawet sam miłość zakochanej pary ośmiela i rozzuchwala. Ten romans czytała właśnie Francesca z Rimini z pięknym Paolem Malatesta, bratem potwornego swego męża, kiedy pierwszy raz miłość ich ku sobie wybuchnęła płomieniem, po którym „już nie czytali więcej“ — jak się żalony duch niewieści w „Komedii Boskiej“ spowiada. Już Dante przeniósł nazwę *Galeotta* na fatalną książkę, a za przykładem jego poszedł dramaturg hiszpański, chrzcząc mianem średniowiecznego pochlebcy — całą tę plotkarską opinią, która lubi się zajmować bliźnimi dopóty, dopóki kłamstwem swem dusz nie przeżre i nie wywoła już istotnie rzeczywistości, dotychczas tylko kłamaney. Wzajemny ku sobie pociąg dwóch osób sztuki: Julii, żony Andrzeja Girolamo, bogatego przemysłowca florenckiego, i Ernesta Alessandriego, poety, (zdaje się, że od siedmiu boleści) mógł być pozostać tylko przyjaźnią, gdyby nie obmowy ludzkie, gdyby nie ciągłe podejrzenia i podżegania zazdrości mężowskiej. Tylko ta niegodziwa potwarz wydobyła gwałtownie na wierzch i rozwinęła w jednej chwili owe niby nic, owo bezwiedne szukanie siebie, jakim bywa miłość w samym początku swoim, kiedy jeszcze jako *delictum qualificatum* może być albo nie być. Potwór niegodziwej opinii jest tutaj *Galeotto*, a wcielił go autor w brata i bratową Alberta i Teresę Girolamo. I syn ich również, Artur, nie uchyla się od uczestnictwa w występnej plotce.

Na głównym temacie oszczerstwa, jako hodowcy uczuć wzbronionych, osnuwa się temat zazdrości mężowskiej, a z tą zazdrością znowu walczy i długi czas trzyma się zwycięzko — uczucie wdzięczności dla nieżyjącego już przyjaciela, przeniesione na jego syna w postaci tklivego przywiązania opiekuna i jakgdyby ojca rodzonnego. Dawno już temu, bo przed dwudziestu laty bogaty przemysłowiec zachwiał się był w interessach i gdyby nie ratunek, z jakim mu pośpieszył ojciec poety, byłby zupełnie upadł Ztąd słuszna wdzięczność i słuszne przywiązanie do dziecka, pozostałego po takim przyjacielu, który wskutek wypadków losowych sam później utracił wszystko, co miał, za swój dobry uczynek nie doczekawszy się już od świata wdzięczności ani w Girolamie, ani w nikim innym. Młody poeta Ernest jest zupełnie biednym, tak biednym, że mu bogaty przemysłowiec musi dać mieszkanie pod swym dachem, a tak niezaradnym, niezadarnym nawet, że go zpod tego dachu nie chce wypuścić, z obawy, aby nie zmarniał.

Potwarz zaczyna już rozpuszczać swe zagony, sam młodzieniec czuje niewłaściwość współlokatorstwa; nareszcie i w Andrzeju zaczynają się budzić arcylogiczne podejrzenia; nic to jednak nie pomaga. Girolamo wymyśla dla poety jakiś sekretaryat i znowu go zatrzymuje w swym domu. Jest on już człowiekiem starszym, żonę ma bardzo młodą, ale dziecięca ufność zamyka mu oczy na wszelkie niebezpieczeństwa. Trzeźwieszym jest sam Alessandri: wyprowadza się nareszcie do jakiejs lichej izdebki ze swemi poematami, z których jeden ma właśnie wykończyć. Ale mu na to świat nie pozwala. Świat w jakiejś kawiarni rzuca potwarce oskarżenie na niego i Julię. W młodzieńcu krew kipie; następuje wyzwanie. Dowiaduje się o tem mąż, Andrea Girolamo. Gołąb zmienia się nagle w jastrzębia: po co ten Ernest ujął się za honor jego żony? —

dłaczego? Ha, bo ją kocha, bo się oboje kochają. Zemsta tedy na jakimś baronie, hrabi, czy księciu—a potem wymiar strasznej sprawiedliwości na zbrodniarzach. Do wymiaru tego jednak nie przychodzi, bo przeciwnik zadaje Girolamowi śmiertelną ranę. Właśnie wnoszą ranionego, kiedy, porwana wieścią o pojedynku Ernesta, w ubogiem jego mieszkanku znajduje się Julia. Wybuch melodramatyczny był nieuchronnym. Przeklinani niewinnie cierpią, bo nigdy sobie nawet miłości swej nie wyznali. Ernest rzuca się jeszcze (ale już za sceną) na jednego z potwarców i zabija go. Girolamo umiera, przekląwszy raz jeszcze żonę, która właśnie Ernestowi dom wymawia.

Z jego śmiercią sztuka jeszcze się nie kończy. Autor zbiera w jedno miejsce oboje młodych i troje Girolamów starszej linii, ubiera Ernesta w togę wielkiego kaznodziei i sprawcom nieszczęścia każe słuchać nauki o oszczerstwie i zgubnych jego skutkach. Na zakończenie młody poeta, objawiający się nagle jako istota energiczna, przyznaje się do miłości wyhodowanej przez plotkę i wraz z Julią idzie w świat.

Wysłuchawszy sztuki, spostrzegamy, że autor nie dowiódł nam swego założenia; wychodzimy z teatru bez przekonania, że istotnie tylko języki ludzkie zamieniły czyste uczucie przyjaźni w nieczyste już uczucie miłości; nie wierzymy zwłaszcza, aby serca dopiero wtedy zajęły się płomieniem, kiedy już znika przeszkoda, a wyznanie zakończające sztukę ma tylko tę jedną rację za sobą, że potrzebne jest samemu autorowi dla obrony się do widzów. Dobroduszość Andrzeja w stosunku z Ernestem nie pozwala na tę tragiczność, w którą go autor tak suto udrapował. Taki Andrzej nie może być charakterem tragicznym; sam fakt obrony podjętej przez Ernesta nie będzie dla niego nigdy przyczyną wystarczającą — gdyż, nie gwałtowność, podejrzliwość, ale dobroć, miara i rozsądek jest treścią jego charakteru. W trzecim akcie sprowadza go Echezaray tylko dla efektu przeklęcia żony. Cała jego tragiczność przejawia się tylko w skutku swoim: w krzywdzie wyrządzanej żonie i synowi przyjaciela. Istotnie, młodzi kochali się, ale jeszcze bezwiednie, a więc i nieodpowiedzialnie. Otello mógłby ich podusić i pozarżnąć, ale Andrzej nie potrzebował ich nawet rozdzielać, bo poeta pierwszy z własnej woli uciekł od pokusy. Sama dobroduszość Girolama wydać się musi każdemu wyolbrzymioną nieprawdopodobnie. Człowiek o jakie dwadzieścia lat starszy, dobrze wie o tem, że nawet dwa kamienie przy sobie zostawione musiałoby drgnąć, a cóż dopiero dwa młode serca. Tego moralu sztuki, moralu płynącego z nieublaganej obserwacji, autor wcale nie wypowiedział; widocznie go nie dostrzegł, w przeciwnym bowiem razie byłby zmienił całą kompozycję swego dramatu.

Posadzaną niesprawiedliwie, cierpiącą niewinnie — ale przytem i niedołązną jest Julia. Biegnie wprawdzie odwozić Ernesta od pojedynku, ale przedtem ani charakteru swych uczuć dla niego nie określa, ani toczącej się w duszy walki nie zaznacza, ani na koniec nie okazuje, oile rzeczywista strata męża jest dla niej cięższą lub cięższą od prostej obawy o życie przyjaciela. Jedno to tylko, że przemawia do nas swem cierpieniem. Z zupełną ujmą dla dramatyczności, autor w akcie III wprowadził komedią wypowiedzianą domu przez Julią Ernestowi: wobec blizkiego już trupa, podobna scena jest blachostką i dowodzi tylko płytkości charakteru skazanego na cierpienie i w dobrej wierze swej nieskazitelnego. Samo uczucie godności powinno było Julią uzbroić w odwagę odmówienia tego, czego żądała od niej Teresa.

Wcale nie źle, ale bez żadnej pretensji do dramatyczności, wychodzi letkiewicz Artur; jako charakter dodatni, prawdziwy w tem, że umie we właściwej chwili wycofać się z szeregu oszczerców. Jego rodzice są malowani przez patrony.

Pan Ładnowski i p. Marcello grali rolę małżonków; p. Tatariewicz był poetą. Kto już do głosu p. Ładnowskiego nawykł, ten musi mu przyznać dobre wywiązanie się z zadania. Ton

i wyraz były wszędzie właściwe. Tu i owdzie pragnąć-by można większego cieniowania, ale pamiętać trzeba, że tutaj głos jest zarazem głównym tworzywem i twórcą. Nie zarzucimy artystyce rozdwojenia się w roli, bo zarzut ten sprawiedliwie tylko przeciwko autorowi skierować można. Temat Echezaraya dałby się postawić, ale przy innym wątku wydarzeń i innym doborze charakterów. Taki temat potrzebowałby dusz głębszych i głębiej ząbiejących się o siebie, ale przytem i subtelnie wykończonych. P. Marcello, w gwałtowności lepsza niż w słodyczy, w trzecim akcie miała pole do popisu, ale nie bardzo rozległe. Wogóle nowa sztuka i artystom nie przyniosła wielkiego plonu. P. Tatariewicz nie umiał jakoś wejść w Ernesta; więcej młodości i zapału, więcej szlachetności bezradnej — bardzo by się przydało. Najlepszym był artysta w kazaniu kończącym sztukę.

Czy uwierzycie czytelnicy, na jakich nam już bohaterów Francuzi patrzeć każą w teatrze i kto jest ten *Ernest* p. p. Clairville'a i Gastineau? Lokaj rozmaitych dam ze świata dającego się dzielić do nieskończoności na ułamki. Sceną, oczywiście, jest Paryż; ciągle *qui pro quibus*, wypełniają to niewysłowione głuźstewko zastanawiające głównie wyborem tytułowej postaci. Jest to niaby niewinność krążąca ciągle około kałuży. Pan Szymanowski grał Ernesta z wielką potoczystością i humorem. P. Lüdowa była dobrą, trochę tylko zanadto uróżowaną, Bertą, a p. Barszczewska Karoliną. Są to dwie żony dwóch przez samego autora nie przez połowice, zwozonych mężów. W tej najgłupszej z fars p. Rapacki podjął się roli jakiegoś pułkownika, który włązi w to nieszcześnie sztuczny, jak Piłat w *Credo*.

Stanisław Krzemiński.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 30 Kwietnia 1888 r.

Jeszcze zimowa groza. — Śmierć pani Julii Pusłowskiej. — Bulanżerka i jej zabawy. — Dobroczynność i śpiewy. — Kongres naukowy katolicki. — Wystawa malarzy niepodległych. — Wystawa pastelistów. — Wystawa karykaturzystów i książka Grand-Cattereta: „Les Moeurs et la Caricature en France“. — Wystawa w klubie przy ulicy Volneya. — Kwestya socyalna w malarstwie. — Towarzystwo muzyczne ze Smoleńska. — Wystawa p. Van Beersa. — Drugi tom „Histoire d'une Grande Dame au XVIII siecle“ przez pannę Herpin. — Robert Lytton Bulwer — poeta i ambasador angielski w Paryżu. — Jego naśladowanie „Nieboskiej Komedy“.

A to Kwiecień! Płakać się chce, kiedy człowiek pomyśli, co za bieda... Czyż z tym miesiącem stało się tego roku, co z owem sławnem *Lucus* tak nazwanem *a non lucendo!* Bo, doprawdy, ten Kwiecień chyba dlatego tak ochrzczony, że wszystko marznie i do pieca się tuli. A kwiaty chyba w oranżeryi znajdziesz, i to za jakie pieniądze!

Słowem, nie możemy się wyrwać z rąk tej cierpkiej zimy. Oto już Maj na progu, a tu słońca, jak na lekarstwo, a za to grad, śnieg, deszcz, leje w najlepsze. Ludzie mrą, jak muchy! I tu, pozwólcie, na wspomnienie. W przeszły piątek, to jest 20 Kwietnia, pochowaliśmy panią Julią Pusłowską. Zaczyna ta i pełna cnót matrona z domu księżniczka Drucka-Lubecka, urodzona w 1811 r., zgasła pod tym mroźnym powiewem Kwietnia! Kolonia Polska w Paryżu traci w niej kobietę, nie tylko pełną przymiotów umysłu, ale i serca, które było zawsze gotowe nieść pomoc i pociechę cierpiącym.

Mimo tej niegodnej pory cały ten miesiąc był wypełniony po brzegi tem, co stanowi prawdziwą mannę dziennikarską.

Na czele paradyje Bulanżerówka ze swym generałem na karym koniu, ze swemi manifestacjami, za i przeciw; z dodatkiem sówitej dystrybucji kulaków i kijów, ze swym potężnym zastępem wyborców, — i zwłaszcza w ludzie wiejskim, znajduje niesłychaną wiarę i zapał. Słowem:

mamy maszyneryą, przypominającą tryumfalny a powolny pochód Napoleona III — maszyneryą, która może zgotować podobną niespodziankę, ślepym i zacierzewanym ludziom, i jak mówiłem już dawniej, być początkiem końca.

Dalej szły, koncerta, bale, z nieodbitą kwestą dla ubogich. Piękny i zacny cel, ale ileż to miłości własnej, pod tym płaszczkiem miłosierdzia! Ale kiedy tak już świat ten się urządzi, dajmy mu krzyżyk na drogę i nie szukajmy zaczepki, kiedy tak obficie składa swą ofiarę!

Następnie, nie można zamilczeć o najrozmaitszych wystawach sztuk pięknych; za nim się jutro otworzy wielka doroczna wystawa, mniejsze partykularne, jedna drugą spychając z afiszów, starają się dodać i swoje trzy grosze. Nowe książki nie zostały w tyle, a choć powiedzmy prawdę: *rari nantes in gurgite vasto* — jest przecież w czem wybrać, dla bibliografa i dla amatora.

Nie obeszło się i bez kongressów, odczytów, mietyngów; puśćmy większą część w niepamięć, a powiedzmy o bardzo poważnym, bardzo znakomitym, o kongresie naukowym katolickim. Urządzony pod opieką Arcybiskupa Paryżkiego, odznaczył się, jak zobaczymy zaraz, doborem mówców i wyborem przedmiotów.

W końcu teatralne nowinki; niewiele ich, ale ciekawe, — słowem: nawał rzeczy, i jest w czem wybrać wiązanek sporą!

Aby każdemu oddać należne miejsce, pozwólcie, że zacznę od naukowego kongresu katolickiego. A najpierw słowo objaśnienia. Od czasu, gdy trzecia Rzeczpospolita Francuzka, a raczej jej przemądrzy reżysserowie urządzili pewien rodzaj kultur-kampfu, — dla pokazania zapewne światu, że na tem polu odwetują Niemcom, ówiczając własną skórę, — prześladowany Kościół Katolicki, w swych najzbawienniejszych aspiracjach, bo w sprawie oświaty, musiał szukać środków oparcia się na tych, którzy zostali mu wiernymi, i dać im wszelkie środki obrony swoich przekonań i nauki bez przymusu.

Ztąd wyszły znakomite zakłady naukowe, wszelkiego rodzaju, a na ich czele kilka uniwersytetów katolickich. Kongres obecny w Paryżu był jakby widomą protestacją przeciw tendencjom niwelacyjnym i stwierdzeniem tego, że Kościół Katolicki, który w Wiekach Średnich tyle się przyczynił do ocalenia z potopu ciemoty nieśmiertelnych pomników starożytnej wiedzy, a do rozszerzenia światła tak potężną podał rękę — i dziś nie chce opuścić dawnego swego stanowiska.

Dnia 9 Kwietnia kongres otwarto w sali Towarzystwa Geograficznego. Arcybiskup Paryżki ksiądz Richard zagaił go przemową, w której zaznaczył jasno cel i dążność, nietylko kongressu, ale wogólności wszystkich czynników katolickiej oświaty, podjętej w sprawie powszechnej, całej ludzkości. D. 10-go krzesło przewodniczącego zajął monsignor Rotelli, Nuncyusz Papieżki w Paryżu. Powitał go, jako przedstawiciela Ojca Świętego, ksiądz biskup Augustoduński Perrand, jeden z najwymowniejszych mówców kościoła we Francyi, a którego jeden z naszych dzienników, przez pomyłkę zapewne, nazwał biskupem z Aten (zamiast z Autun), jak się dziś nazywa ten stary gród Gallów: Augusta „Aedurum.“ Po nim głos zabrał ks. biskup d'Hulst, koadjutor paryżkiego arcybiskupstwa, o pracach rozmaitych sekcji kongressu. A na następnych posiedzeniach najznakomitsze odczyty mieli: X. Duchesne o Forum Romanum i o jego preistorczeniu w ciągu długich wieków, X. Perry, Jezuita, dyrektor obserwatorium w Stoughurst w Anglii, o wewnętrznym składzie słońca i t. d.

Przebudzę teraz do części artystycznej, mojego zadania. Dajmy najprzód miejsce Niepodległym (Indépendants). Rozgościł się oni w tak zwanym Pawilonie Miejskim. Jest to dodatek (annexe) do Wielkiego Pałacu na Polach Elizejskich. Ciekawa to wystawa, nie z powodu znakomitych obrazów lub rzeźby — daremnieby było szukać ich tutaj — ale z tego, do czego tu mogą dojść ludziska, puszczę ni na własną wolę. Nie — nigdzie, na świecie ca łym, jeżeli nie przez żaden hamulec z góry, to przez poczucie własnej godności, żaden artysta nie odważy się na to, na

## PODRÓŻE NAUKOWE.

### II.

Do Tunisu.—Do Afryki Zachodniej.—Do Maroka.—Do Hiszpanii.—Do źródeł rzeki Orenoco.—Na około świata na wulkanie.—Terra del Fuego.

Opisów Tunisu znajduje się bardzo wiele. Sprawozdanie pana Arnaud, zakomunikowane w ostatnich czasach i pomieszczone w „L'Année Scientifique” Figuiera, rzuca nowe światło na ten kraj.

Przybył on do Tunisu przez kraj Krumirów. Podróż koleją z Algieru do Tunisu trwają bardzo długo, pociągi nocą tam nie kursują, zaledwie w przeciągu trzech dni można przejechać 700 kilometrów. Na stacji w Gardimaon znajduje się skromny bufet, w którym otrzymują posiłek ci z podróży, którzy byli o tyle przezorni, iż zamówili go sobie telegrafem. Na stacji znajduje się komora tunetańska. Targ dosyć ożywny na zboże i bydło, odbywa się co Wtorek.

O 5 kilometrów od Gardimaon znajdują się sławne kopalnie pięknego marmuru z Szemtu, eksploatowane przez kompanię francuską, której zarząd mieści się w Belgii, w Liège. Są one połączone linią kolei żelaznej z następną stacją noszącą nazwę: Ued-Zeliz. Kolej żelazna przebiega tu przez precudną dolinę Medzarda, która w dalszym ciągu wężą się bardzo bystro, aż nareszcie między wysokimi skałami pozostaje jedynie miejsce, na przejazd.

Dalej następuje stacja Beja; jest to stara siedziba a raczej ruina romańska zamieszkała przez 3 do 4,000 mieszkańców; mimo to odbywa się tu jeden z największych ruchów handlowych. Okolica ta posiada kilka pokładów mineralnych żelaza. Co do rolnictwa, to tak jak wszędzie w Tunisie, bogactwa pod tym względem są rzeczą przyszłości. Są tu również kopalnie ołowiu, należące do towarzystwa Bône-Guelma. Towarzystwo to posiada po lewej i prawej stronie kolei żelaznej, wiodącej od Gardimaon do Tunisu, grunta wynoszące po 20 metrów szerokości, co czyni około 500 hektarów ziemi zdanej do uprawy. Znaczna część jest już uprawioną i zasadzoną drzewami: akacyami, eukaliptusami i t. p. Przez uformowaną w ten sposób aleję wjeżdża się do Tunisu.

Jest to miasto zielone (Kadra), jak je tuziemcy nazywają, gdyż w samej rzeczy wokoło otoczone jest zielonością i murem rozpadającym się w wielu miejscach. Miasto dzieli się na dwie części: na właściwe leżące w dolinie, mające wygląd wschodni, i europejskie na brzegu błotnistym jeziora.

Ludność wynosi 150,00, z której 130,000 Arabów. Miasto europejskie przerzyna piękna aleja morska i złączona jest z arabskim przez aleję francuską. Przyjeźdźcy musi uderzyć w nowym mieście stan upadku, w jakim się znajdują jego ulice i aleje. Nawet aleja morska jest pod względem bruku i czystości bardzo źle utrzymana; ulice zbiegające się do niej są w jeszcze opłakanym stanie. W okolicach dworca francuskiego i komory błoto jest prawie nie do przebycia. W nocy krążenie po ulicach, z powodu dołów i bagien, staje się niemożliwym, a po deszczu trzeboby na szudłach chodzić. Projekta uporządkowania miasta są bardzo liczne; jedna z poprzecznych ulic, ma być wypořádzoną i przedłużoną w kształcie bulwaru aż do Belwederu, co stanowiloby bardzo przyjemne miejsce przechadzki.

Dworzec kolei żelaznej włoskiej ma być przeniesionym dla zrobienia miejsca na nową część miasta.

Prócz tego jest projekt otworzenia nowej drogi dla złączenia portu francuskiego, z meczetem Dżamaa-Sidi-Mares, znajdując się pod protekcją zwierzchnika tunetańskiego. Meczeta ten jest rodzajem domu schronienia dla przestępców.

Gończka spekulacyjna jest tu tak wielką, że ziemia wydaje się zbyt małą na pomieszczenie wszystkich przedsiębiorców i spekulantów. Tran-

zakcje handlowe odbywają się codziennie. Po większej części własność w Tunisie jest osobistą. Najczęściej jest ona *habous* t. j., że można ją odprzedać na dożywocie, lub za rentę, którą tu nazywają *enzel*. Podatki są nadzwyczaj skomplikowane.

W części europejskiej miasta może się pomieścić 50,000 mieszkańców: nie należy więc niwelować i urządzać nowych placów, dopóki nie zaludni się część gotowa.

Mieszkanie złożone z salonu, jadalni, dwóch pokoiów sypialnych kosztuje 2,000 franków. Domy z przepychem urządzone przynoszą po 12 do 14%. Istnieje w Tunisie Stowarzyszenie francuskie dla rozpowszechniania języka francuskiego; towarzystwo kolonizacyjne; towarzystwo dobroczynności, którego zadaniem jest ułatwiać powrót rodakom niemającym sposobu do życia, a także opiekowanie się chorymi, kalekami i dziećmi. Jest jeszcze bractwo udzielające porady lekarskiej, lekarstw i wypłacające zapomogę przez czas trwania choroby. Prócz tego istnieje towarzystwo assekuracyjne, towarzystwo budowlane i nakoniec izba handlowa, założona w roku 1885, zajmująca się wszystkim co ma styczność z handlem.

Doktor Hamy, kustosz muzeum etnograficznego i pan Errington zwiedzali również Tunis i ogłosili sprawozdanie o tym kraju pod względem geologicznym i etnograficznym i archeologicznym.

Głównym jednakże celem ich podróży było zbadanie pomników, według ich położenia geograficznego, wzniesionych przez krajowców a znanych pod nazwą *dolmenów*. Dr Hamy sądził, że będą to wskazówki cywilizacyjne o tym kraju. Po długich mozołach i przebyciu znacznej przestrzeni kraju obfitującego w zwaliska, doszli do przekonania, że owe dolmeny nie są niczem innym, jak staremi romańskimi cmentarzyskami.

Badania te uzupełnione studyami panów Cagriat i Thomas pozwolą ułożyć mapę archeologiczną, która będzie stanowić wyczerpujący materiał pod względem zamieszkiwania tego kraju przez szczep romański. Prócz tego skreślono mapę geologiczną i t. p.

Karol Soller, skutkiem polecenia rządu francuskiego, udał się w roku 1885 do Afryki dla zbadania jej części zachodniej. Przedewszystkiem udał się do Tangeru, ażeby ztamtąd dostać się do Mogadoru a następnie do Marokka. Będąc jaknajlepiej przyjętym przez najwyższe położone osoby, był zaproszonym do złączenia się z sułtanem, który właśnie podjął wyprawę przeciwko plemionom zbuntowanym, tak, że pierwszą część wyprawy swej odbył wspólnie z członkami misji francuskiej w Marokku.

Serdeczny jego przyjaciel, odważny dowódzca artylerji, Schmitt został okropnie zamordowany przez kilku żołnierzy z armii sułtana z załogi w Mekines.

Opuściwszy armię marokkańską odważny podróżnik ten skierował drogę do Atlasu, którego łańcuch gór szczęśliwie przebył wśród tysiącznych niebezpieczeństw w dzikich okolicach, gdzie dotąd noga europejska jeszcze nigdy nie postąpiła. Wróciwszy do Mogadoru, zwiedził Wyspy Kanaryjskie, a następnie udał się do północnego Senegalu w okolicę Sahary pod Tiris.

Można się spodziewać, że Karol Soller już w niedługim czasie powróci ze swej wyprawy.

(Dokończenie nastąpi)

## NAD PRZEPAŚCIĄ.

Przez

Czesława Pieniżka.

(Dokończenie).

### III.

Nie przypuszczałem i nie chciałem przypuszczać, aby już jakiś stosunek istniał między Anie-

co się puścili Niepodlegli! To już przechodzi wszelką miarę. Pierwszy salon wygląda jeszcze jakkolwiek: jest to miernota, ale jest to ni gorzsze, ni lepsze od tego, co zobaczymy jutro na wystawie dorocznej, w sąsiednim gmachu. Ale pozostałe cztery salony czynią wrażenie, jakby tu ludzie poszli o zakład, kto kogo prześcignie w najdziwniejszych i najgłupszych pomysłach.

Wogóle jest to zbiór wierutnych nieuków... Większa część smaruje tak płótno, jak się to zdarzyło każdemu z nas, kiedy, mając lat ośm lub dziewięć, dostaliśmy raz pierwszy pudełko z farbami. Tak, obok bohomasów i bazgraczy dziecięcych są tu nowe niby systemata malarstwa. Są tak zwani: *Bullistes*. Ci nakładają farby na płótno, gomólkami trójkolorowymi, błękitne, żółte, czerwone — nie usiłując wcale złąć tego i zjednoczyć w jedno, ale zostawiając to samym optycznym nerwom ciekawych widzów. Są też i *Cloisonistes*; u tych wszystkie zarysy, liście, naprzykład w pejzażach, obwiedzione są starannie czerwonym paskiem. Wychodzą niby z tego założenia, że czerwony kolor jest tylko dopełnieniem zielonej barwy, i t. p. dziwactwa. Ale się zatrzymuję, bo kto tego na własne nie widział oczy, ten nie potrafi zrozumieć, dokąd w tym kierunku zajść może ten, kto raz wpadnie w tego rodzaju obłąd.

Na szczęście, nie kończy się tu wszystko na tych dziwacznych pomysłach—i obok tego bezładzia mamy zaraz poprawkę. *Pasteliści*, to jest malarze, poświęcający się wyłącznie malowaniu tak zwanymi *pastelami*, i jak każdego roku i dziś otwarli swoje wystawę w sali *Petit*, przy ulicy de Sèze. Wiadomo wszystkim, że ten rodzaj malarstwa, zastosowany szczególnie do portretów, był doprowadzony do najwyższej doskonałości we Francji, w przeszłym wieku. Okazy tego malarstwa, które nam pozostały, zadziwiają dotąd jeszcze blaskiem, świeżością i artyzmem swoim, a tacy mistrzowie w tym rodzaju, jak *Delatour*, naprzykład, doszli do perfekcji. Prawda, że pudrowane głowy, jasne barwy strojów, błyskotki i koronki, nadawały się niezmiernie do tego rodzaju malarstwa, ale jakkolwiekbądź, portrety są niesłychanego wdzięku.

Rodzaj ten malarstwa wyszedł z mody z końcem przeszłego wieku, a na początku naszego stulecia zaniedbany został całkowicie. Dziś, zaczyna on znowu wchodzić w użycie, dzięki kilku znakomitym malarzom francuskiej szkoły, jak to widzimy na tej wystawie, przy ulicy *de Sèze*. P. Lévy zawsze jeszcze jedno z pierwszych miejsc zajmuje, a chociaż ciemne włosy i ciemna barwa naszego odzienia staje się niezmiernie trudną do pogodzenia z wymaganiami pastelowego rodzaju, przecież p. Lévy zwyciężyła te trudności i nieraz otrzymuje wielkie i piękne efekta. Prawda, że maluje on przeważnie portrety kobiece, co mu pozwala uniknąć zbyt wielkich sprzeczności i nagromadzenia jednostajnych odcieni kolorów. Nowy jego współzawodnik p. *Thévenot*, w swoim portrecie niemłodej kobiety okazał się prawdziwym mistrzem; pewność rysunku, pełność kolorytu, lekkość i delikatność dotknięcia, dają mu nawet pierwsze miejsce na tej wystawie. Wspomnieć tu należy z odnaczeniem panią Magdaleny Lemaire i pp. Adana, Gervexa, Monténarda i t. d.

Wystawa karykaturzystów w pałacu Szkoły sztuk pięknych nie ziszcila, bynajmniej spodziewanych nadziei urządzaczy tej expozycji. Ten nawał, pięć czy sześć salonów ogromnych, wypełnionych od sufitu do podłogi rysunkami, któreśmy po większej części oglądali dzień po dzień przez lat kilkadziesiąt — pomimo niezaprzeczonego talentu artystów i wyłącznej zdolności Francuzów w tym rodzaju—nuży widza bardzo prędko; tem bardziej, że większa część tej wystawy są to rysunki robione czarnym ołówkiem, co wywołuje koniecznie pewną monotoność i znużenie oka. Dodajmy do tego, że dziewięć dziesiątych tych rysunków największą swą zaletę zawdzięczają legendom, wyrażonym w kilku sprytnych i dobitnych słowach u spodu rysunku, w czem właśnie celują Francuzi, tak z natury samego swego języka, jak też z usposobienia umysłu.

(Dokończenie nastąpi).





puścić się w podróż do Europy w bieżącym lub przyszłym miesiącu. Według listów tak jego, jak p. Teodora Rogozińskiego, wyspa podnosi się bardzo szybko w cywilizacji i zaludnia. Hiszpania urządziła już z nią dość częstą i nie przykrą komunikacją. Z okolic Kalisza wybiera się tam pewna rodzina ziemiańska: trzy kobiety i trzech mężczyzn, ale p. Teodor Rogoziński, który przybył niedawno do Krakowa po 9-cio miesięcznym pobycie na Fernando Po, a który wkrótce znajdzie się w naszym mieście, bardzo jest przeciwnym emigracji do Afryki kobiet naszych. Przedstawia to wielkie niebezpieczeństwo, a nie ma w perspektywie odpowiednich korzyści.

— **P. Teodor Rogoziński** podczas swego pobytu na Fernando Po, zrobił wycieczkę na północno zachodni brzeg Afryki i przez Kamerun, Gabon, Kongo, Angolę, dostał się do największego miasta tych okolic Afryki, do San Paul de Landa. W mieście tem, które liczy blisko tysiąc ludzi białych, znalazł on ziomka: inżyniera Jarocińskiego, który zajęty jest przy budowie drogi żelaznej. Podróż p. Rogozińskiego, która z Fernando Po do Liverpoolu, trwać była powinna trzy tygodnie, wskutek burz na morzu trwała pięć.

— **Biografia Kraszewskiego**, obszerna i bardzo sympatyczna wychodzi w Peszcie w piśmie „Kronika tygodniowa.“

## WYSTAWA INWENTARZA.

W Kwietniu roku zeszłego Towarzystwo Wycigów Konnych w Królestwie Polskiem uzyskało zezwolenie na urządzenie w Warszawie, w miesiącu Czerwcu, corocznych wystaw inwentarza, oraz przedmiotów związków mających z chowem i pracą koni. Przywilej powyższy służy do 1893 r. włącznie. W celu więc podniesienia hodowli, oraz ułatwienia hodowcom sprzedaży i zakupu inwentarza, mianowicie rozplodowego, postanowiła kommissya wystawowa urządzać wystawę w roku bieżącym. Brak odpowiedniego targu na bydło rozplodowe w kraju naszym najdotkliwiej uczuwać się daje rolnikom; więc też wytworzenie takiego targu głównym jest celem czerwcowej wystawy w Warszawie. Ale oprócz tego dopuszczeni będą także i wystawcy pragnący poddać swe okazy ocenie biegłych, przyczem biegli zajmą się nie tylko oceną pojedynczych okazów, ale także grup całych. W dziale koni grupa składająca się powinna przynajmniej ze czterech sztuk, z tych dwie klacze rodne, w dziale bydła rogatego z jednego buhaja, dwóch krów i czterech jałowic; w dziale owiec z dwóch tryków, dziesięciu matek i pięciu jarlic; w dziale trzody chlewnej z jednego knura, dwóch macior i sześciu prosiąt. Równocześnie odbędzie się konkurs nabiałowy i kucia koni. W dziale „pozakonkursowym“ mogą być wystawiane maszyny i narzędzia rolnicze.

Celem ułatwienia ruchu targowego i zniżenia kosztów dla wystawców, postanowiono, że: a) okazy poza konkursem będące lub tylko na sprzedaż przeznaczone mogą być każdego czasu z placu wystawy wyprowadzone, a w miejsce ich, w opróżnionych klatkach, nowe okazy umieszczane bez wnoszenia powtórnej opłaty; b) okazy do konkursu stające mogą być wyprowadzane po osądzeniu, to jest poczynając od piątego dnia po otwarciu wystawy.

Zamiast medali w naturze, wydawane będą, jako nagrody, dyptomy z prawem na medale. Nagrody pieniężne udzielane będą tylko wystawcom włościańskim.

Pasza dla inwentarza będzie dostarczana w dobrym gatunku na placu wystawy przez upoważnionego do tego dostawcę, po cenie stałej, przez kommissyą zatwierdzonej.

Za miejsca pobierana będzie przy składaniu deklaracji następująca opłata: Od koni starszych nad lat 3 po 10 rub.; od koni młodszych niż 3 lata po 5 rub., od koni urodzonych za granicą po 15 rub. Od sztuki bydła starszego nad 1 rok po 5 rub.; od sztuki bydła młodszego niż 1 rok po 3 rub. Od owiec zadeklarowanych w mniejszej ilości niż sztuk 5, po 2 rub.; od owiec zadeklarowanych w większej ilości niż sztuk 5 po 1 rub. 50 kop. Od prosiąt młodszych niż 1 rok po 30 kop. od świń starszych po 1 rub. Od jednej klatki dla dla psów po 3 rub. 60 kop. Od jednej klatki dla drobiu po 2 rub. 40 kop. Od przedmiotów mających związek z chowem koni (jak od wozów, bryczek, wyrobów siodlarskich, rymarskich i t. p.) po 60 kop. Od nabiału (za miejsce zajęte na stole) za łokieć kwadratowy po 3 rub. W dziale „pozakonkursowym“ (maszyn i narzędzi rolniczych) od zamawiających 300 łokci kwadratowych, za łokieć po 15 kop.; od zamawiających mniej niż 300 łokci kwadratowych, za łokieć po 20 kop.

Członkowie Towarzystwa Wycigów Konnych w Królestwie Polskiem wnoszą za inwentarz połowę powyższych opłat.

Od okazów sprzedanych na placu wystawy pobierana będzie opłata na rzecz wystawy, wynosząca 3%. Okazy należące do włościan wolne są od opłaty. Osoby życzące sobie wziąć udział w wystawie winny przelać kommissyji deklaracją i złożyć opłatę za miejsce, najpóźniej do dnia 15 Maja roku bieżącego.

Dla bydła rogatego potrzebne jest świadectwo zdrowia i pochodzenia z miejsca zdrowego, wy-

stawione przez miejscową władzę policyjną lub weterynaryjną. Kontrola weterynaryjna okazów przybywających na wystawę odbywać się będzie, nie przy rogatkach, lecz na placu wystawy.

Otwarcie wystawy nastąpi w dniu 9-tym, zamknięcie w d. 23-cim Czerwca roku bieżącego. Okazy zadeklarowane winny być dostawione najpóźniej na jeden dzień przed otwarciem wystawy. Nadmieniam się raz jeszcze, że okazy tylko na sprzedaż przeznaczone mogą być przez cały czas trwania wystawy przyprowadzane i wyprowadzane.

Zaznacza się wreszcie, że dla hodowców posiadających stajnie, obory, chlewnie i owczarnie zarodowe, a niebiorących udziału w wystawie, nadarza się dobra sposobność zamieszczenia w katalogu wystawy, za niewielką stosunkowo opłatą; wiadomości, o kierunku hodowli, ilości sztuk na sprzedaż przeznaczonych, cenie i t. p.

Deklaracje, jak również i wszelkie korespondencje dotyczące wystawy, przyjmuje kancelarya Towarzystwa Wycigów Konnych i Wystawy (Krakowskie-Przedmieście Nr 32, pałac Augusta hr. Potockiego), codziennie od godziny 1-ej zrana do 3-ej po południu (z wyjątkiem dni świątecznych).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

## Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI HISTORYCZNYCH JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO

przedstawiających w formie powieściowej

### Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

W ciągu roku wychodzi 20 tomów (przeszło 200 arkuszy)

Wydawnictwo to rozpoczęło się w Styczniu r. b.

Obecnie wyszły z druku tomy 1 do 7-go włącznie i zawierają

Powieści osnute na tle historycznym IX i X wieku pod tytułem:

### STARA BAŚŃ.—LUBONIE.—BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

W roku bieżącym wyjdą jeszcze powieści: **Masław**, 2 tomy. — **Boleszczyce**, 2 tomy. — **Królewscy synowie**, 4 tomy. — **O Petru Właście**, 2 tomy. — **Stach z Konar**, tom I i II.

### WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wynosi rocznie (za 20 tomów) rs. 7 kop. 20, z przesyłką rs. 8 kop. 80; półrocznie (za 10 tomów) rs. 3 kop. 60, z przesyłką rs. 4 kop. 40; kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2 kop. 20. W Warszawie opłacać też można miesięcznie po kop. 60.

Tom w prenumeracie wypada tylko kopiejek 36.

tym sposobem wydanie to rzeczywiście taniem nazwanem być może.

Przez prenumeratę nabycie jeszcze bardziej jest ułatwionem.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

**MICHAŁ GLÜCKSBURG**, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

**TREŚĆ:** Co ja kocham? poezya, przez Maryę Ilnicką. — **Na starym gruncie**, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — **Przegląd teatralny**, przez St. Krzemińskiego. — **Nowiny paryżkie**. — **Podroże naukowe**. — **Nad przepaścią**, (dokończenie), przez Czesława Pieniążka. — **Z bieżącej chwili**. — **Wystawa inwentarza**.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — **Przegląd mód**. — 35 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny **Michał Glücksberg**.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Апрелья 1888 года.